

ŁOWISKA  
TOM 2

*Mraki*  
ŁOWISK

ANNA KASIUK





*Mroki*  
**ŁOWISK**

**ANNA KASIUK**

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

[www.dlaczemu.pl](http://www.dlaczemu.pl)

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Opieka wydawnicza: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadząca: Edyta Gadaj

Redakcja: Ewa Hoffman-Skibińska

Korekta językowa: Edyta Patrzalek

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład: Karolina Kruk

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-66-6

Zapraszamy księgarnie i biblioteki  
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

[kontakt@dlaczemu.pl](mailto:kontakt@dlaczemu.pl)

*Moim kochanym dzieciakom: Julii, Jakubowi i Wiktorowi.  
Bez Was wszystkie wartości mojego życia byłyby bezużyteczne.*



Dlatego walczymy z nurtem rzeki, który znosi nas w przeszłość nieustannie.

Francis Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*

## PROLOG

Już przez zaciśnięte powieki Paweł czuł gorące promienie słońca. Nie otwierał oczu, dłońmi muskał miękką trawę, której ostry zapach pobudzał jego zmysły i wprawiał w doskonały nastrój. Skąd zatem to dziwne przecucie, że wydarzyło się coś złego? Poruszył palcami u stóp, zacisnął mocno dłonie, dusząc w uścisku miękką soczystą zieloność. Uniósł ręce na wysokość twarzy i powoli uchylił powieki. Natychmiast wdarł się pod nie palący blask słońca, oślepiając. Usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Wszystko w porządku.

Ponownie otworzył oczy, tym razem jednak zasłaniając je przed słońcem. Uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Leżał na ziemi, u jego stóp jezioro kołysało się powoli, leniwie. Mimo że było ciepło, miał na sobie biały podkoszulek z długim rękawem opinający tors. Nabrał głęboko powietrza, chcąc się upewnić, że z jego oddechem również wszystko dobrze. Spojrzał niżej, na swoje nogi w długich lnianych spodniach. Stopy miał bose. Wsparł je o miękką murawę i pozwolił, żeby tysiące kołysanych ciepłym wiatrem źdźbeł laskotało skórę. Coś wewnątrz niego rosło, jakby wypełniające go niczym nieograniczone szczęście.

Usiadł wreszcie i rozejrzył się dookoła, świadomy, że znajduje się w Łowiskach, co nie pozbawiło go przedziwnego wrażenia, że otaczające go drzewa, woda w jeziorze, a nawet pomost są wyjątkowo wyraźne, jakby skreślone zbyt jaskrawymi kolorami. Niemal nienaturalne. Nie przeszkadzało mu to jednak w delektowaniu się przyjemnością płynącą z sytuacji, w jakiej się znajdował. Był w domu. Cały i zdrowy, choć nie potrafił nadal odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego miałoby być inaczej. Niczego więcej nie potrzebował. Skrzyżował nogi i wsparł łokcie na kolanach.

Wtedy też usłyszał śmiech. Zainteresowany, natychmiast powiódł wzrokiem w kierunku, z którego pochodził ów dźwięk, i w skupieniu zmrużył powieki. Między brzozaami biegała ona. Ubrana w długą białą suknię, choć nie miał pewności, czy nie była to nocna koszula, z burzą rudych, nieokiełzanych pukli opadających na plecy, wyglądających zupełnie jak okalające twarz płomienie. Mignęła mu między drzewami, jakby drocząc się z kimś. Powiódł czujnym wzrokiem dalej, w poszukiwaniu drugiej osoby, przed którą ta bogini starała się ukryć, jednak nie zauważył nikogo więcej. Zewsząd dobiegał go jedynie jej dźwięczny głos, jakby chichot roześmianej dziewczynki bawiącej się w chowanym z koleżankami. Mimochodem się uśmiechnął. Ten obraz sprawiał mu ogromną przyjemność. Chłonał widok jej postaci niemal każdym fragmentem siebie. Piękny, zadarty, nieduży nos, rude, szpiczaste brwi nadające twarzy odrobiny surowości i czerwone jak krew usta. Jej skóra była blada, zupełnie pozbawiona rumieńca, którego obecność wydawałaby się tak naturalna. Piękne bujne piersi kołysały się, jakby chcąc się wyrwać z haftowanej koszulki ciasno opinającej ramiona. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Wydawała mu się tak piękna. Uświadomił sobie wtedy, że zna tę kobietę. To Matylda. Jego pożądanie, miłość i obsesja w najczystszej postaci. W momencie, kiedy w myślach zabrzmiało to imię, kobieta



zwróciła się w jego kierunku, a spojrzenie zielonych oczu przeszło go na wylot.

Pragnął jej.

Jakby słysząc jego myśli, zachichotała zawstydzona, kładąc na ustach delikatną, szczupłą dłoń i ukrywając żar swojego uśmiechu.

– Jesteś mój, kochany. Teraz zostaniemy już razem. Tutaj, w Łowiskach.

Pobiegła w przeciwnym kierunku i skryła się za kolejną linią brzoź. Jej dźwięczny śmiech wtopił się w szum jeziora, a szelest koszuli zlał się w jedną pieśń z szumiącymi na wietrze liśćmi.

– Zostaniemy razem... – szepnął, wodząc za nią wzrokiem. Coś jednak ukłuło go w sercu, jakby gdzieś głęboko rodziła się jakaś wątpliwość. Odwrócił głowę w prawo i mocno wyciągnął szyję.

Tuż za wzniesieniem jego oczom ukazał się kontur dachu. Tak, w Łowiskach stał przecież dom. Jego dom. Podniósł się niepewnie w obawie, że za chwilę może się przewrócić. Stopy stawał powoli, jakby sprawdzając, czy wszystko z nimi w porządku, czy nie zatracą za chwilę naturalnego rytmu poruszania. Skierował się w stronę domu. W jednym z okien powiewała biała firanka. Czy ktoś jest w środku?

Szedł powoli, delektując się każdym stawianym krokiem. Czuł ciepłe promienie słońca muskające twarz, jednak nie było mu gorąco. Kiedy dotarł wystarczająco blisko, jego uszu dobiegł cichy dźwięk sączącej się z wewnątrz muzyki. Natychmiast pochwycił rytm i zaczął nucić pod nosem. W oddali usłyszał ponownie jej śmiech. Obejrzał się przez ramię, ale jego myśli były w tej chwili zaprzątnięte domem. Czuł, że musi wejść do środka.

Drzwi ustąpiły wyjątkowo łatwo. Wcale nie były zamknięte. Kiedy stanął na progu, odniósł wrażenie, że nagle zrobiło się ciemno. Odwrócił się w kierunku słońca, ale nie ujrzał go

na niebie. Gdzieś na horyzoncie zauważył blednące ciemnobrunatne smugi. Słońce zaszło w chwili, kiedy przestąpił próg swojego domu. Przytrzymał się obiema rękami futryny, dodając sobie w ten sposób pewności, i wszedł do środka.

Muzyka zamilkła. W domu panowała całkowita cisza. Jego wzrok szybko się przyzwyczaił do panującego półmroku. Najpierw wszedł do kuchni. Na stole pozostawiono kubki. W niektórych z nich wciąż stała zimna kawa bądź inny ciemny napój. Ujął w dłoń jedną filiżankę i wciągnął głęboko zapach. Na kubku pozostały resztki piżma, które podrażniły powonienie. Znał ten zapach. Lubił go.

Omiótł kuchnię niechętnym spojrzeniem. Panował tu nieład. Naczynia niepozmywane, w zlewie stała ich cała stera. Odwrócił się i wyszedł do salonu, gdzie omiótł go chłodny powiew wiatru. Drzwi na taras pozostawiono uchylone i tamtędy wsączał się przyjemny chłód. Zatrzymał się w progu i wpatrywał przez chwilę w dal. Za kilka godzin ponownie wszędzie słońce i rozświetli tamte wzgórza swoim różowiejącym blaskiem.

Nagle uświadomił sobie, że na tarasie ktoś jest. Rozchylił drgające na wietrze firanki i przestąpił próg z lękiem, czy kiedy to zrobi, znowu coś się zmieni. Może tym razem słońce wychyli się zza horyzontu? Nic takiego jednak się nie stało. W wiklinowym fotelu siedział mężczyzna. Wyglądał tak, jakby zasnął nagle: głowę wsparł na dłoni, drugą zaś rękę skrył pod pachą. Na jego twarzy rysowało się ogromne zmęczenie, może strach? Rysy, mimo snu, wydawały się zastygłe w grymasie bólu. Paweł sięgnął po leżący na poręczy kraciasty pled i nakrył śpiącego. Noc nie była tak ciepła, jak dzień, który skończył się tak nagle kilka chwil temu. Patrząc na twarz śpiącego mężczyzny, poczuł coś, co w sumie mógł określić mianem bliskości. Był z tym człowiekiem w jakiś sposób związany. Czuł się za niego odpowiedzialny, choć nie potrafił powiedzieć na jego temat nic ponad to, co widział. Wycofał

się ponownie w głąb salonu. Jakaś siła tym razem kazała mu się skierować w stronę długiego korytarza prowadzącego do lewego skrzydła domu. Niemal na jego końcu znajdowały się drzwi. Teraz zamknięte, jednak Paweł miał pewność, że za nimi znajduje się coś, co go przyciąga, wabi, i czemu niemal nie może się oprzeć.

Nacisnął na klamkę i pchnął lekko. Drzwi ustąpiły. Słyszał swoje oszalałe serce, ale nie miał pojęcia, co powoduje jego podekscytowanie. Nie bał się, czuł jednak mrowienie na karku. Przesząpił próg najciszej, jak potrafił, i zaczerpnął powietrza. Pokój przepelniał ten sam zapach, który roztaczał się w kuchni. Włosy na karku się uniosły. Przeszył go przyjemny dreszcz. Przymknął drzwi i skierował się w stronę łóżka, na którym ktoś spał. Słyszał spokojny, głęboki oddech. Rozejrzał się po pokoju. Na fotelu leżały porozrzucone ubrania, na starym dębowym biurku z kolei stało kilka filiżanek po kawie.

„Co ci ludzie robią, że nie mają czasu po sobie posprzątać?“, przebiegło mu przez myśl.

Śpiącą postać oświetlił księżyc, który w tej chwili wychylił się zza ciemnej skłębionej chmury. Obraz wydał się Pawłowi wyjątkowo mroczny, co jedynie go rozbawiło. Cała ta sytuacja zdawała mu się wyjątkowo nietypowa. Podeszedł do łóżka od strony okna tak, by nie przesłonić blasku księżycy padającego na twarz śpiącej kobiety. Miała krótkie włosy rozrzucone w nieładzie na poduszce. Uznałby ją za cherubina o nieskazitelnie okrągłej twarzy. Podeszedł bliżej i dopiero wtedy poczuł, jak jakiś ciężar wciska go w podłogę. Znał tę kobietę, kochał ją. To było głębsze uczucie niż to, którym darzył biegającą nad jeziorem Matyldę. Opadł na kolana tuż przy jej twarzy i przyglądał się jej centymetr po centymetrze, starając się za wszelką cenę przypomnieć sobie coś więcej niż to, że darzył ją naprawdę silnym uczuciem. Dlaczego tak wiele dla niego znaczyła? Dlaczego pod jej oczami oprawionymi ciemną linią długich rzęs rysowały się tak głębokie cienie? Co ta kobieta

przeżyła, że odbiło się to takim piętnem na jej twarzy? Co dotknęło śpiącego na tarasie, że wyglądał na tak udęczonego?

Przysunął twarz do jej ust tak, by poczuć oddech.

„Co tu się, kurwa, dzieje?”

Ściągnął gniewnie gęste czarne brwi i przysunął się jeszcze bliżej. Dopiero czuł wiatr, słońce grzało jego twarz... Dlaczego nie może poczuć jej oddechu na swojej twarzy? Potrzebował tego...

Gdzieś z oddali usłyszał swoje imię. Matylda wołała go, przyzywała jak matka swoje zbłąkane dziecko. Odwrócił ponownie twarz w kierunku śpiącej kobiety. Piękna, delikatna. Tak bardzo chciał jej dotknąć, poczuć zapach, smak, ale nie miał odwagi. A co, jeśli się okaże, że ona jest poza zasięgiem jego dotyku...? Dmuchał delikatnie i się przyglądał, jak ciemne rzęsy drgają. Zacisnęła mocniej oczy, jakby jego oddech podrażnił ją. W jego sercu zapłonęła nadzieja.

Powoli się podniósł i wyszedł po cichu przed dom. Obiecał sobie jednak, że wróci. Musiał tu wrócić i wyjaśnić dziwną bliskość, którą czuł z tymi ludźmi. Muszą dla niego wiele znaczyć i za wszelką cenę chciał sobie to przypomnieć.

Oddalając się, czuł przepelniający go żal, jakby właśnie bezpowrotnie utracił fragment siebie.

# I

W pokoju zrobiło się chłodno. Majka otworzyła oczy, poczuwszy podmuch wiatru na twarzy. Czyżby nie zamknęła okna? Majowe wieczory zawsze uważała za najbardziej romantyczną porę, jednak tylko wtedy, kiedy mogła się znajdować u boku swojego mężczyzny. Odkąd jednak go zabrakło, wciąż czuła otaczający ją chłód i niepewność o każdy nadchodzący dzień.

„Jak mówić o szczęściu i cieszyć się majem, miesiącem zakochanych, czasem miłości, skoro nasza miłość została zepchnięta gdzieś w dzikie odmęty mojego szalejącego z rozpaczy serca i bierne dno duszy wciąż nieprzytomnego Pawła?”

Usiadła na łóżku i rozejrzała się po ciemnym pokoju. Przez te kilka dni, które zdążyła już spędzić w Łowiskach, nauczyła się żyć z tą wszechogarniającą ciemnością. Potrafiła już odróżnić kształty mebli stojących w otoczeniu, mimo że ciemność pochłaniała najmniejsze nawet przebliski światła. Majka już nie bała się mroku tak, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy przyszło jej spędzić noc w ciemnych Łowiskach. Przypomniała sobie tamte chwile, gdy obudziła się w pokoju przerażona i jej rozedrgana rozpaczą dusza na moment rozpromieniła się, kiedy oczami wyobraźni zobaczyła twarz Pawła wbiegającego do sypialni. Przez krótką chwilę poczuła się tak, jakby nic złego się nie wydarzyło, a Paweł po prostu na moment wyszedł z pokoju. Spojrzała na puste miejsce obok siebie i w jej oczach

zakręciły się lzy: gorące i wypalające piętno tęsknoty na policzkach. Jego nie ma. Leży sam, gdzieś w odległym szpitalu, podpięty do mnóstwa rurek i aparatury odmierzającej swoimi zegarami sekundy życia.

Opuściła stopy na podłogę i poczuła szpikulce chłodu wspinające się po kostkach i łydkach, by na wysokości bioder rozplynać się po całym ciele. Wlepiła wzrok w uchylone okno i lekko drgającą na wietrze firankę. Jakimś cudem wymknęła się na zewnątrz i łopotała na wietrze, który dał od strony jeziora.

Podeszła do okna i spojrzała w tamtą stronę. Wokół rozlaźczał się nieprzenikniony mrok. Księżyc się schował za chmurami, które nadciągnęły minionego ranka. Pogoda powoli się psuła. Czyżby i ona oplakiwała stan, w jakim znajdował się Paweł?

Dziewczyna oparła chłodne dłonie o gładki drewniany parapet, a głowę o ścianę, wciąż się wpatrując w połyskującą w oddali taflę jeziora. Jego mętna toń unosiła chłodną bryzę i słodką woń gnijących liści. Do jej uszu dobiegał słaby dźwięk fal uderzających o pomost, na którym nie tak dawno siedzieli. Zaczepnęła głęboko powietrza. Nie mogła i nie chciała pozwolić, by jedynym, co jej pozostało, były wspomnienia. Postanowiła, że będzie silna. Dla Pawła, bo teraz potrzebował jej siły; sam biernie czekał na to, co przyniesie los. Odepchnęła się od ściany i zdecydowanym krokiem wyszła z sypialni. Przemęczona, niewyspana, dlatego byle podmuch wiatru zdawał się przenikać ją zimnem do szpiku kości. Wysłuchana w niosący się echem po pustym domu dźwięk bosych stóp na posadzce, kierowała się w stronę dobiegającego ją chłodu. Wyszła na taras, gdzie zastała śpiącego, przykrytego zaledwie pledem Roberta. Przyglądała się mu przez chwilę, a jedyna myśl, jaka ją prześladowała, dotyczyła przekonania, że gdyby Paweł wiódł spokojne życie, takie jak jego brat, nie leżałby teraz w szpitalu i nie walczył o przetrwanie. Choć równie

dobrze, gdyby ona bardziej zdecydowanie sprzeciwiła się jego wyjazdowi, pewnie teraz siedzieliby razem na tym tarasie i upajali się każdą chwilą, która w Łowiskach zdawała się być wiecznością. Tu czas płynie wolniej.

Przeniosła wzrok na zachmurzone niebo i w momencie, kiedy zza chmur wysunął się brzuchaty księżyc, ponownie spojrzała na Roberta. Jakież on zmęczony. Jego twarz wydawała się być starsza o kilka lat. Ciemne smugi pod oczami i zapadnięte policzki uzmysłowiły jej, że obydwoje nie jedli niczego od poranka, kiedy to dźwięk telefonu zasygnalizował nadchodzącą tragedię. Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Robert, wstań. Chodźmy do domu. Chyba będzie padało. – Ścisnęła jego ramię i szarpnęła bardziej zdecydowanie.

Otworzył oczy i mrugnął kilka razy, jakby potrzebował czasu, by dojść do siebie i zebrać rozproszone myśli.

– Wejdziesz do domu, zmarzniesz tutaj.

Zaspany przyglądał jej się przez chwilę, po czym bez słowa się podniósł i ruszył do salonu. Pled zsunął się z jego kolan i zatrzymał na drewnianej barierce. Majka zamknęła za nimi drzwi i zapaliła niewielką lampkę stojącą na stole. Pokój rozjaśniał bladą, lekko kremową poświatą. Ponownie spojrzała w stronę Roberta. Stał bezradnie na środku salonu i wpatrywał się w słabe światło lampki.

– Wiesz...? Zrobię coś do jedzenia. Na pewno jesteś głodny. – Starła się, by jej głos brzmiał przynajmniej naturalnie, choć to niełatwe, kiedy jej gardło zaciskała stalowa obręcz rozpaczy.

Robert zwilżył wargi językiem i przytaknął beznamyślnie.

Ruszyła zatem pospiesznie do kuchni, jakby w obawie, że jeśli zostanie w pokoju jeszcze chwilę, on się rozmyśli. Przygotowała kilka kanapek z żółtym serem, bo tylko to mieli w lodówce, zaparzyła gorącą herbatę i wcisnęła do niej solidną porcję cytryny, która, miała nadzieję, zneutralizuje choć trochę ilość dosypanego cukru. Obydwoje siedzieli w salonie

i w ciszy odgryzali kęsy kanapek, jakby zostali zmuszeni do przeżuwania podeszwy trampka. Posiłek okazał się jednak bardzo dobrym pomysłem. Gorąca herbata wydobyła na ich policzki blade rumieńce, dzięki czemu nie wyglądali już jak postacie z galerii figur woskowych.

– Co teraz? – zapytał.

– Nie wiem. Wstaniemy rano i pojedziemy do Olsztyna?

– Jutro już piątek.

– Wiem. Zadzwoń rano do pracy i poproszę o dłuższy urlop. Nie wrócę do domu. Muszę zostać tutaj.

– To możliwe?

– To konieczne.

– Cieszę się, że zostaniesz. Nie będę musiał przechodzić przez to sam.

Majka, zaskoczona wyznaniem, uniosła wzrok znad talerza. Robert wydał jej się taki kruchy, gdy wypowiadał te słowa. Uśmiechnęła się do niego smutno i odstawiła swój talerz na stół. Przechodząc obok, położyła dłoń na jego ramieniu i zacisnęła palce.

– Widzimy się rano. Spokojnej nocy, Robert.

Zanim jednak położyła się ponownie do łóżka, analizowała po raz kolejny ostatnie tygodnie w poszukiwaniu punktu zaczepienia, który pomógłby znaleźć choć cień wytłumaczenia tego, co się wydarzyło.

Poranek okazał się wyjątkowo mglisty. Znad jeziora nadal ciągnął słodki zapach wilgoci, a nieprzerwanie dżdżący deszcz w mgnieniu oka przesiąkał ich ubrania, kiedy obydwoje stali przed domem, zanim się skierowali w stronę zaparkowanego pod dębem samochodu. Czekali ich pięćdziesiąt kilometrów ciszy przeplatanej zdawkowymi uwagami w drodze do szpitala.

Kiedy dojechali na miejsce, niebo nieco się przejaśniło, a zza chmur wyłaniało się niepewnie słońce. Majka, stojąc na szczycie stopni prowadzących do drzwi lecznicy, odwróciła się i zadarła wysoko głowę. Czego szukała? Sama nie miała



pewności. Może natchnienia? A może siły, która, miała nadzieję, pomogłaby jej stawić czoła temu, co za chwilę miało ją spotkać? Robert położył jedną dłoń na klamce i otworzył przed nią ciężkie drewniane wrota, drugą zaś lekko pchnął ją w ich stronę. Posłusznie ruszyła szarym korytarzem w znanym już sobie kierunku. Po drodze mijała zmęczone twarze pacjentów. Przepelnione lękiem i obawą oczy odwiedzających zdawały się odprowadzać ją spojrzeniami. Z determinacją unikała patrzenia na nich, lojalnie łącząc się z bólem i cierpieniem, ale i w nadziei, że odwracając wzrok, nie skupia na sobie zainteresowania nieszczęścia, choroby, a w najgorszym wypadku śmierci.

Kiedy się zatrzymała w drzwiach sali, w której leżał Paweł, jej serce ścisnęła stalowa obręcz. Żywiłowy i pełen energii człowiek, jakiego poznała, leżał owinięty kablami aparatury, a jego ramiona podpięte do dwóch butli z sączącym się leniwie płynem wyglądały niepokojąco bezradnie. Twarz natomiast, nie licząc siniaków i zadrapań, zaskakiwała spokojem. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że Paweł po prostu spał. Jego klatka piersiowa unosiła się równomiernie, nabierając i uwalniając oddech, który czerpał już sam, bez pomocy respiratora. Majka z nadzieją w oczach odwróciła się do stojącego za nią Roberta. W jego spojrzeniu ujrzała tę samą nadzieję. To był postęp, o jakim jeszcze dzień wcześniej nie wiedzieli. Paweł oddychał samodzielnie.

Kilka chwil później do pokoju wszedł opiekujący się Pawłem lekarz. Obydwoje podnieśli się z krzeseł, gdzie mieli zamiar spędzić tyle czasu, na ile pozwoli im personel i ile sami zdołają wytrzymać.

– Witam państwa. Wcześniej dziś państwo przyjechaliście. Czy zdążyliście w ogóle odpocząć? Nie potrzeba nam więcej pacjentów, a zaniedbując swoje zdrowie, nie pomożecie Pawłowi. – Przerzucił niedbale kartę wiszącą na poręczu łóżka i wsparł się o nią, wpatrując się w twarz leżącego. On

również wyglądał na zmęczonego. Dyżurował poprzedniego dnia, kiedy Majka dotarła tu z Robertem.

„Sam chyba również nie za bardzo dbał o swoje zdrowie, skoro już drugą dobę spędzał na nogach”, przemknęło jej przez myśl, ale spojrzawszy na Roberta, zauważyła, że nieznacznie skinął głową, przewidując jej zamiar podzielenia się swoim uszczypliwym spostrzeżeniem. Dlatego opuściła wzrok i wypuściła ciężko powietrze, wydawszy przy tym wargi.

– Doktorze, jak wygląda dziś stan mojego brata? Nie jest już podpięty do respiratora, jak zauważyliśmy. – Robert umiejętnie pominął zaczepkę.

– Tak. Oddycha sam. Powiem panu, że dziś rano przyszły wyniki badań, które zleciłem wczoraj. Pańskiego brata pokonało wycieńczenie. Jego wyniki nie są zadowalające. Powiem więcej: są słabe. Muszę przyznać, że powodem wypadku mogło być najzwyczajniej zmęczenie. Trafił do nas odwodniony, wczoraj w nocy dostał gorączki. Podaliśmy mu antybiotyk, a teraz kroplówkę. Najwidoczniej zasnął za kierownicą ze zmęczenia i wyczerpania.

– A z czego to może wynikać? – spytała niepewnie Majka.

– Powodów może być wiele, proszę pani. Zaniedbana grypa, gorączka. Nie pił, mało jadł. Teraz nie potrzeba wiele, żeby doprowadzić się do takiego stanu. Każdy z nas żyje w stresie, nie mamy czasu na to, żeby odpocząć, kiedy jesteśmy chorzy, bo musimy pracować. I tak też, według mnie, było w tym przypadku.

Majkę ogarnął nagły przyływ złości. Mogła przecież z większą stanowczością się przeciwstawić pomysłowi wyjazdu. Czuli się winna. Usiadła ponownie na swoim krześle i wpatrywała się w spokojną, bladą jak zwykle twarz Pawła.

„Nie dam ci się już tak łatwo zwieść”, spuentowała w myślach niezadowolona.

– Ale wszystko będzie dobrze. – Dobiegł ją głos lekarza. – To nie był jakiś wyjątkowo niebezpieczny wypadek. Proszę

mi wierzyć, jeszcze kilka dni i pacjent wyjdzie od nas jak nowy, choć chodzić zacznie dopiero za kilka tygodni. Nogę ma złamaną w trzech miejscach, dlatego gips pozostanie przez około sześć tygodni.

„Może to przynajmniej zatrzyma go na miejscu”, przebiegło jej przez myśl. Choć w gruncie rzeczy poczuła ulgę, bo słowa lekarza znaczyły, ni mniej ni więcej, że Paweł wyjdzie z tego. Przeżyje.

– A kiedy on się obudzi? – spytał Robert.

– W każdej chwili może. Proszę dać mu trochę czasu. Pański brat jest wyczerpany, jak mówiłem. Doszedł do tego wstrząs związany z wypadkiem. Jest pod naszą stałą opieką. Będziemy wiedzieli, kiedy to nastąpi. Poza tym jestem pewien, że nas słyszy. Wie pan, czasem słowa najbliższych pomagają bardziej niż leki, którymi dysponuje medycyna. Skoro siedzicie tu państwo, to mówcie do niego. I czekamy.

Robert przecesał włosy palcami i roześmiał się nerwowo.

– No, to dobre wiadomości. Przeżyliśmy straszne dwa dni.

– Nie da się ukryć. Ale najgorsze macie już za sobą. – Lekarz włożył wymownie ręce w kieszenie swojego białego przepastnego kitla i przestąpił nerwowo z nogi na nogę, dając im tym samym do zrozumienia, że na niego już czas.

Robert, widząc to, podszedł i wyciągnął do niego rękę.

– Dziękuję za opiekę nad moim bratem. Bardzo dziękuję. – Uścisnął dłoń lekarza i odprowadził go do drzwi.

Kiedy zostali w sali sami, potarł twarz otwartymi dłońmi i usiadł na krześle stojącym naprzeciwko Majki. Wpatrywali się przez chwilę w twarz Pawła bez słowa. Po chwili dość nieudolnie, czując presję sytuacji, jakby ktoś ich podsłuchiwał, zaczęli rozmawiać, najpierw ze sobą, niepewnie, a potem opowiadali Pawłowi o tym, jak minęła im podróż z Warszawy do Łowisk, jak świeciło słońce, gdy wstali rano i czekali na jego powrót. Majka położyła dłoń na ustach i się rozpląkała. Nie chcąc, by Paweł słyszał jej płacz, podniosła się z krzesła

i podeszła do okna. Poczula niebawem stojącego za jej plecami Roberta. Położył jej ręce na ramionach i ścisnął delikatnie.

– Nie płacz. Musisz znaleźć w sobie siłę, żeby postawić go na nogi. Zabrnęłaś już tak daleko. Nie możesz się teraz złamać. Potrzebuję twojej pomocy. Paweł cię potrzebuje.

Jego ciepły oddech muskał jej szyję. Tych kilka wyszeptanych słów, których znaczenie jest tak oczywiste, pozbawiło ją na moment równowagi. Oparła się całym ciężarem o Roberta i pospiesznie wycierała zapłakane oczy.

– Przepraszam – szepnęła, kiedy, odwracając się, stanęła z nim twarzą w twarz. Miał piękne błękitne oczy, które ostatnio przepelniał smutek. – To się już nie powtórzy.

Skinął głową i wpatrując się w nią, stał bez ruchu. Po chwili, jakby moment niemocy minął, wrócili na swoje krzesła.